

**ZABÓJCZY
POTENCJAŁ
HANNAH DEITCH**

Przełożył Tomasz Macios

MARGINESY

Killer Potential

COPYRIGHT © 2025 BY Hannah Deitch

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Tomasz Macios

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

Mojej rodzinie

Koszty życia

Byłam kiedyś słynną morderczynią. Zabiłam bogatą rodzinę, w stylu Mansona, a potem uciekłam i się ukrywałam. Ale nie chodziło mi o rozpętanie wojny rasowej, by uczynić świat krainą mlekiem i miodem płynącą. Nie pragnęłam też skrycie zostać kolejnym Biltelsem. Jak mówili w wiadomościach, byłam tylko kolejnym żądnym sławy mordercą i za wszelką cenę pragnęłam wykuć swoją twarz na Mount Rushmore wielkich amerykańskich psychopatów.

To nieprawda, lecz „była morderczyni” to niezły tekst. Od jakiegoś czasu chodzi mi po głowie, żeby umieścić go na moim profilu w aplikacji randkowej. Dwie prawdy i jedno kłamstwo: (1) rzuciłam studia doktoranckie, (2) znam się na giełdzie i zarobiłam miliony!!!, (3) byłam kiedyś słynną morderczynią.

Byłam też kiedyś korepetytorką. Przygotowywałam licealistów do egzaminu SAT* i właśnie w ten sposób poznałam rodzinę, której na pewno nie zabiłam. Jedna z tych bzdurnych wyjaśnianych przez nas dzieciakom reguł gramatycznych – używam tu zbiorowego „my” korepetytorów przygotowujących do SAT, mojego plemienia, moich ziomków, takich jak ja cwaniaczków wciskających kit, żeby zarobić na czynsz – dotyczy różnicy między stroną czynną a bier-

* Scholastic Assessment Test (dosł. „szkolny test oceniający”) – odpowiednik polskiej matury. Zdawany przez licealistów standaryzowany test obejmujący czytanie ze zrozumieniem, pisanie i zadania z matematyki, nieobowiązkowy, lecz wymagany przy rekrutacji na większość studiów licencjackich w Stanach Zjednoczonych. Wiele uczelni akceptuje też alternatywny egzamin ACT. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

ną. Robię coś. Coś jest robione. W pierwszym zdaniu mamy stronę czynną, w drugim bierną. Strona bierna pozwala się wymigać. Zostawia miejsce dla legendy. Zbrodnie są popełniane bez sprawców. Podmioty odchodzą w cień i znikają. Strona czynna jest lepsza, ale strona bierna się przydaje. Na przykład, kiedy zdarzy ci się zostać mordercą.

To zostało zrobione przeze mnie. W ten sposób łatwiej opowiadać tę historię. Zaimek „mnie” staje się niemal dopiskiem, zepchniętym na margines, najmniej istotną częścią zdania. Teraz liczy się tylko sam czyn. Victorowie zostali znalezieni martwi. Martwe ciała Victorów zostały znalezione przeze mnie.

Gdy myślę teraz o dniu, w którym przyjechałam na korepetycje z Sereną Victor i odkryłam jej ojca pośród wodorostów w oczku z karpiami koi, sinego, spuchniętego i bez wątpienia martwego, mogę to sobie wyobrazić niemal jako obejrzany kiedyś film. Gdy natykam się na krwawą miazgę w miejscu twarzy jej matki, czuję się jak duch, który przypadkiem trafił na miejsce zbrodni. Nie mam materialnej formy. Niczego nie dotykam, oderwana od świata efektów domina i entropii. Jestem tylko przechodniem.

Ale oczywiście to ja zrobiłam różne rzeczy. Decyzje zostały podjęte – ja je podjęłam. Przemoc się dokonała – ja jej dokonałam. Miejsca zbrodni zostały opuszczone – to ja je opuściłam. Ludzie zostali skrzywdzeni – ja ich skrzywdziłam. Ktoś został pokochany – to ja go pokochałam. Nie wszystko, co zrobiłam, było złe. Tylko większość z tych rzeczy.

Często myślę o opowiadaniu *Ogród o rozwidlających się ścieżkach* Borgesa. Przeczytałam je jako nastolatka. Jego bohater, chiński profesor, odkrywa dzieło swojego przodka, Ts’ui Pena, który chciał stworzyć zarówno powieść labirynt, jak i prawdziwy nieprzenikniony labirynt. Książka nie została ukończona i nikt nie mógł jej zrozumieć, powszechnie uważano też, że labirynt nigdy nie powstał, choć tak naprawdę powieść i labirynt były jednym i tym samym. Profesor odwiedza badacza twórczości Ts’ui Pena, który wyjaśnia

mu, że zamysł polegał na stworzeniu labiryntu nie w przestrzeni – prawdziwego, materialnego – lecz w czasie. Nasze decyzje nie eliminują innych opcji swoją nieodwołalnością, tylko powołują do istnienia równoległe odgałęzienia czasu. Innymi słowy: wszystkie wybory i ich konsekwencje dokonują się równocześnie i nieustannie.

Istnieje świat, w którym już nigdy nie pojechałam do domu Victorów. Poprzedniego wieczoru za dużo wypiliśmy ze współlokatorem. Wysłałam im esemesa: „Bardzo przepraszam. Strasznie się pochorowałam. Czy możemy to przełożyć?” Tego samego dnia dowiem się o morderstwach z wiadomości, podobnie jak inni ludzie. Będę pochłaniała makabryczne spekulacje ekspertów i teorie rozgorączkowanych fanów true crime z Reddita. Będę opowiadała tę historię na imprezach: „Kojarzycie Victorów, tę bogatą rodzinę zamordowaną w LA? Kiedyś uczyłam ich córkę. Sikałam w ich łazience, piłam ich herbatę, tłumaczyłam dziewczynie trygonometrię”. Nawet nie byłoby o mnie wzmianki.

A teraz jestem historią. Ja ją napisałam. A ona napisała mnie.

Moje niedzielne popołudnia należały do Sereny Victor. Była jedną z tych uczennic, którym musiałam pomagać we wszystkim. Pracowałam z nią prawie od ośmiu tygodni. Przyjeżdżałam raz w tygodniu na dwie godziny: pierwsza godzina na przygotowania do egzaminu SAT, druga na wspólne odrabianie zadań domowych. Nie byłam pierwszą korepetytorką Sereny, Dinah napomknęła, że miałam poprzedniczkę, ale musieli ją zwolnić. Dostałam jasny przekaz: „Jeśli córka nie podciągnie się w nauce, nie zagrzejesz tu miejsca”.

Zazwyczaj potrzebowała pomocy w pisaniu rozprawek i wypracowań, a czasem w rozwiązywaniu zadań z chemii. Przez ostatnich parę tygodni nie chodziła do szkoły, więc starałam się, by nadrobiła zaległości. Tajemnicza dolegliwość Sereny nie była zaraźliwa, zapewniła mnie jej matka, ale na tyle poważna, by dziewczyna została w domu, gdzie rodzice mogli mieć na nią oko. Przygotowania do egzaminu SAT pozostały naszym głównym celem. Na testach próbnych Serena zdobywała jakieś tysiąc trzysta pięćdziesiąt punktów. Jej najwyższy wynik to tysiąc czterysta osiemdziesiąt, najniższy tysiąc dwieście dwadzieścia. Chociaż chciała studiować na drogiej uczelni humanistycznej, najlepiej radziła sobie z matematyką. A ja najbardziej lubiałam uczyć właśnie tego przedmiotu – eleganckich wzorów, sprytnych rozwiązań i powtórzeń. Znacznie więcej wysiłku kosztowało mnie znalezienie niezawodnej metody w przypadku czytania ze zrozumieniem. Postępy moich podopiecznych były niesystematyczne i nieprzewidywalne, a spadki wyników i brak poprawy trudniejsze do wytłumaczenia rodzicom.

Owi rodzice zazwyczaj należeli do jednej z dwóch kategorii. Albo z przesadną wdzięcznością dziękowali mi za „całą pomoc”, albo odnosili się do moich umiejętności i stawek z dużą podejrzliwością. Victorowie jednak najwyraźniej naprawdę mnie lubili. Peter, ojciec Sereny, pracował w finansach. Był jakimś bankierem, jak mi się wydawało. I tyle wiedziałam. Zarabiał pieniądze na cudzych długach. Na kontach bankowych przybywało zer, a on spędzał wakacje na Majorce, w Monako i na Martha’s Vineyard. Był niski i nie naturalnie opalony, a jego ciemnoblond włosy przecinały srebrne pasemka. Zwykle nie widywałam go, kiedy przychodziłam na korepetycje, czasem jednak witał mnie w drzwiach. Miał wtedy w sobie tę rozbijającą łagodność samotnego mężczyzny w domu pełnym kobiet. Znałam ten typ. Ojciec, który uważa się za rozjemcę, opatowany głos rozsądku równoważący cały ten rozbuchany estrogen.

Nie jestem pewna, kiedy i jak Peter poznał Dinah, ale wiem, że zanim się pobrali, była dość znaną aktorką. Po urodzeniu Sereny porzuciła zawód. U szczytu sławy wystąpiła w nominowanym do Oscara dramacie o pechowym biegaczu, który odnosi niespodziewane zwycięstwo. Kiedyś oglądałam go z przyjaciółmi na hajju. Dinah grała atrakcyjną dziewczynę głównego bohatera. Gdy nabił się kontuzji kolana, wiernie go wspierała, dzięki czemu udało mu się wrócić do formy. Film spodobał mi się bardziej, niż byłam skłonna przyznać.

Oczywiście najlepiej poznałam córkę Victorów, Serenę. Nieśmiałą złotowłosą siedemnastolatkę o twarzy porcelanowej lalki. Nosila sukienki i spódnice oraz kudłate swetry ze szmateksów, a jej nogi pokrywał delikatny brzoskwiniowy meszek. Kiedy ją poznałam, miała włosy prawie do pasa. Po trzech tygodniach były już obcięte na Jean Seberg, jak mi powiedziała, dając tym samym do zrozumienia, że wie, kim był Jean-Luc Godard. Podejrzewałam, że mimo urody nie była lubiana w szkole. Opierała swoją tożsamość na upodobaniach literackich, filmowych i muzycznych, łatwo wpadała w zakłopotanie i osądzała innych. Byłam do niej z góry

bezpodstawnie uprzydrona. Nieśmiałość Sereny przypominała mi koleżanki i kolegów ze studiów, społeczne dzieciaki z bogatych domów, które snuły się po kampusie, wечно pograżone w melancholii, i paliły jednego papierosa za drugim. Jej przyszłość widziałam jak na dłoni. Magisterka z poezji albo doktorat z literatury wczesnonowożytnej. Udawanie biednej artystki w wiktoriańskiej kamieniczce z dwiema sypialniami w Mission. Dowiedziałam się na tyle dużo o jej chłopaku, Lukasiu, by zorientować się, jakich facetów wybierała. Widziałam jego zdjęcia na ekranie blokady iPhone'a Sereny i na polaroidzie przyklejonym z tyłu etui telefonu. Miał dłuższe, zaniedbane blond włosy, taką zszarzałą wersję złocistych pukli Sereny. Bardzo kanciastą szczękę i bardzo zapadnięte policzki, które nadawały jego twarzy wygląd czaszki oblanej stopionym woskiem. Lukas był wegetarianinem i palił skręty z tytoniu. Tuż po dwudziestce Serena wymieni go na atrakcyjniejsze modele – wariacje na temat tych samych mężczyzn, których kulturowe upodobania sygnalizują ich „alternatywną” wiarygodność. Sprane koszulki z nazwami zespołów, o których nikt nie słyszał, tłuste włosy, oldskulowe sneakersy, wąsy, ręcznie robione tatuaże. Będą bogaci, tak jak Serena, ale będą to dobrze ukrywać. W końcu Serena znajdzie sobie narzeczonego z branży technologicznej, może ze Szwecji albo z Norwegii, który tworzy aplikacje, bierze dużo ecstasy i uważa się za autorytet w dziedzinie amerykańskiego hip-hopu. Albo będzie to chłopak z rodziny nowojorskich inwestorów, związany z branżą nieruchomości, w weekendy grający ze swoją kapelą covey Dinosaur Jr. Tymczasem Serena zajmie się malowaniem albo kupowaniem obrazów, albo założy drogi gabinet wellness, kończąc doktorat o melancholii i kobiecym ciele w angielskiej poezji pastoralnej.

Jeśli wydadę się okrutna albo małostkowa, nie mam zamiaru się z tego tłumaczyć. Na pociechę mogę was zapewnić, że nie pozwalałam, by moje wredne myśli raniły uczucia Sereny. Bardzo dobrze wychodziło mi udawanie, że ją lubię, i bądźmy szczerzy: to, czy da-

rzyłam ją sympatią, czy nie, nie miało znaczenia. Mieszkała w najpiękniejszym domu, w jakim powstała moja noga, domu, w którym sama nigdy nie miałabym szans zamieszkać, tak fantastycznym, że wyglądał jak coś kompletnie spoza znanego mi świata. A jednak tam stał, na wzgórzach Los Feliz, wciśnięty między angielskie domy w stylu Tudorów, hiszpańskie kolonialne wille i szwajcarskie chalety.

Salon oświetlała tylko morska zieleń sącząca się przez witraż wzorowany na *Drzewie życia* Klimta. Labirynty korytarzy wydawały się pozbawione logiki, nieprawdopodobne i surrealistyczne. Wystrój domu Dinah Victor przywodził na myśl stare hollywoodzkie rezydencje: duże welurowe kanapy, żyrandole w średniowiecznym stylu, perskie dywany. W łazience akwamarynowe marokańskie kafelki, wanny na lwich łapach w kolorze złota, opalizujące jak wnętrze muszli. Nasze cotygodniowe korepetycje odbywały się w jadalni, czasem w salonie lub kuchni. W ciągu tych dwóch godzin połowa mojego umysłu skupiała się na pracy: uczeniu Sereny o parabolach, twierdzeniu Pitagorasa i błędach składniowych. Druga połowa wędrowała po tych pokojach, napawając się każdym detalem. Kostka mydła z jaśminem i szafranem za sto dolarów. Błędnie wstawiony przecinek między podmiotem a przydawką. Portugalski stół z litego drewna. Wielomiany. Ręcznie malowana, jedwabna tapeta de Gournay. Paralelizm.

Muszę przyznać, że w chwilach słabości i odrazy do samej siebie jestem podatna na niedyskretny urok domów. Podobają mi się stare rezydencje. Przeglądanie zdjęć na Zillow daje mi kopa. Dom Victorów wymagał jednak ode mnie wykorzystania wiedzy zdobytej na koszmarne drogich studiach z historii sztuki. Zaprojektował go surrealista Emmanuel Besos, hiszpański arystokrata, który przyjechał do Kalifornii pracować w raczkującym jeszcze przemyśle filmowym. Tworzył scenografie do musicali i monumentalnych dramatów historycznych: schody znikające wśród chmur, baśniowe sale balowe, ogrody i górskie pejzaże. Dom Victorów należał do trzech rezy-

dencji zaprojektowanych przez niego w latach dwudziestych w Los Angeles. Besos miał zamiar poeksperymentować z nowym układem przestrzeni dla służby. Wymyślił labirynt sekretnych korytarzy i ukrytych drzwi, dzięki którym pomoc domowa miała pozostać niewidoczna. W znalezionym gdzieś artykule przeczytałam jednak, że ów labirynt okazał się tylko legendą: nikt nigdy nie znalazł dowodów na jego istnienie, nie widniał też na oficjalnych planach. Ot, jeszcze jedna fantazja Besosa, która nigdy nie stała się ciałem.

Korepetycje z Sereną zawsze przebiegały tak samo. Miałam czarnego PT Cruisera z 2003 roku, odziedziczonego po stryjczynym dziadku. Mój samochód wyglądał wręcz podejrzanie nędznie, kiedy parkowałam go na ulicy zastawionej Teslami. Z bagażnika wyciągałam cztery książki: *Princeton Review SAT*, *College Board SAT*, zeszyt ćwiczeń do matmy oraz lekturę, którą Serena miała przeczytać. W tym tygodniu był to *Frankenstein*. Wspinałam się po podjeździe, przechodziłam przez fosę (tak, prawdziwą fosę), przez bujny ogród z sukulentami i drzewkami cytrynowymi, aż do ogromnych dębowych drzwi wejściowych, które w niedzielę, kiedy zaczyna się ta historia, były już szeroko otwarte.

Nigdy wcześniej się to nie zdarzyło.

– Serena?

Nie weszłam do środka. W progu poczułam znajomy zapach domu: stęchlą wilgoć, charakterystyczną dla wszystkich tych rezydencji z lat dwudziestych, rozsianych malowniczo po wzgórzach Los Angeles. Dinah Victor lubiła drogie kadzidła i miętową herbatę. Te wonie też dotarły do mojego nosa.

– Serena? – zawołałam ponownie.

Wciąż nikt nie odpowiadał, poza psem, który wybiegł z mroku, ślizgając się po podłodze, i rzucił się na moje nogi. Ugryzł mnie w kostkę.

– Pickle, ty wredny kundlu.

Znów mnie dziabnął. Nie do krwi, ale te miękkie, wilgotne kłapanięcia były naprawdę wkurzające.

– Dinah? Słyszysz mnie?

Przypomniałam sobie, że nie widziałam jej od kilku tygodni. Ostatnio to Peter otwierał mi drzwi.

– Peter? – zawołałam.

Żadnej odpowiedzi. Weszłam do środka. Główny korytarz był niski i ciemny. Po lewej stronie znajdowała się jadalnia. Tam zwykle pracowałam z Sereną. Odłożyłam książki. Dom wypełniały dźwięki. Pośród tego ponurego szumu rozległ się głuchy łoskot. Gdzieś w oddali leciała woda z kranu.

Wróciłam do głównego korytarza. Słońce, jakby błagało, by dostać się do środka, przesączało się przez szparę w okiennicach, rozsypując na porysowanej drewnianej podłodze złote okruchy światła. Jadalnia sąsiadowała z niewielką łazienką, z której zwykle korzystałam zaraz po przyjeździe. To był mój stały punkt programu w domu każdego z uczniów: chwila prywatności, żeby się wysikać albo wysrać w pięknej toalecie, i przygotować do występu w roli korepetytorki Evie Gordon. Victorowie mieli w łazience papierowe serwetki w złotej misie. Czasem zastanawiałam się, czy po to, by służba nie używała ich materiałowych ręczników do rąk. „Służba” stanowiła elastyczną kategorię – nigdy nie byłam pewna, czy się do niej zaliczam. Taki już los prywatnych korepetytorów. Nie jesteśmy nauczycielami. Nie mamy takiej władzy. A jednak między mną a dzieckiem istnieje przynajmniej iluzja, że to ja tu rządzę: cicha zgoda na wspólną grę w tym przedstawieniu. Czasem, dla dodania spektaklowi powagi, rodzice chcą mnie nazywać „panią Gordon”. Zapewniam ich wtedy dobrotliwie: „Nie, nie. Proszę, mówcie mi Evie”.

Wróciłam do jadalni, przekonana, że teraz znajdę tam Serenę. Ale wciąż było pusto. Mimo to usiadłam. Przyszło mi do głowy, by zapalić światło albo rozsunąć zasłony. Telefon miałam w kieszeni. Wysłałam wiadomości do Sereny i Dinah: „Cześć! Już jestem na miejscu”.

Gdzieś w domu zawibrował telefon.

Ktoś więc tu był. Pomyślałam o wysłaniu jeszcze uśmiechniętej buźki. Serena i Dinah lubiły takie gesty. Dzięki nim to, że mi płaciły, stawało się mniej niezręczne, mogły udawać, że jestem po prostu starszą koleżanką Sereny, która naprawdę lubi poprawiać jej błędy gramatyczne. W pewnych rodzinach ta iluzja spełniała swoją funkcję: przypominanie sobie o transakcyjnym charakterze naszej relacji budziło w nich obrzydzenie. Właśnie tak rzecz się miała z Victorami. Dinah zawsze częstowała mnie herbatą. Chciała wiedzieć, co myślę o Afganistanie, którą powieść Virginii Woolf najbardziej lubię i co oznaczają moje tatuaże.

Nikt się nie pojawiał.

Spojrzałam na telefon. Żadnej odpowiedzi. Wytężyłam słuch: starałam się wychwycić skrzypienie desek podłogowych, jakiegokolwiek odgłosy. Przecież na pewno słyszałam szum wody z kranu. Teraz panowała cisza.

Powoli podniosłam się od stołu. Z jakiegoś powodu wydało mi się ważne, żeby tej ciszy nie przerywać, choć sama jeszcze nie wiedziałam dlaczego. Skradałam się ciemnym korytarzem, mijając łazienkę z drogimi mydlami i płynami do kąpeli, potem mroczny gabinet pana Victora, aż dotarłam do kuchni.

Byłam tu już kilka razy – na herbatę, na krótką pogawędkę, raz prowadziłam też korepetycje przy śniadaniowym stole z ławkami pod witrażowym oknem. Uwagę przykuwał francuski zabytkowy piec. Na grubej drewnianej belce wisały miedziane garnki, jak w wiejskiej kuchni. Ściany i podłoga były z kamienia: pomieszczenie miało klimat zamkowej komnaty, czegoś z innego świata. Dwoje łukowych drzwi prowadziło do ogrodu za domem.

Jedne z nich były otwarte. Obok stała walizka i porzucona torbka. Może Dinah wróciła z wyjazdu. Przez drzwi do kuchni wlewało się światło – intensywne i gęste jak syrop, pełne wirujących pyłków.

– Dinah? – zawołałam. Niepewnie otworzyłam drzwi jeszcze szerzej i weszłam do ogrodu, dłonią osłaniając oczy przed słońcem.

Przede mną wiła się kręta terakotowa ścieżka z oplecionymi bluszczem żelaznymi kratownicami po obu stronach. Ujrzałam ciemnoniebieski basen jak z rzymskich łaźni. Z warzywnika unosiła się woń mięty i bazylii. Na krzakach wisiały dojrzałe pomidory. Ogród przechodził w trawnik porośnięty cyprysami. Spozstrzegłam jacuzzi, z którego, jak przypuszczałam, rzadko kiedy ktoś korzystał. Rosły tam lovecraftowskie kaktusy i sukulenty o grubych kolczastych językach pokrytych pajęczynami. Gładkie ciała roślin w niezemskich kolorach purpury, mięty i mandarynki. Niezliczone rzędy zębów. Nad oczkiem z koi wznosił się mostek. Tyle tu było do zobaczenia, tyle barw, tyle życia, tyle słońca, że na początku w ogóle nie zauważyłam Dinah ani Petera.

Najpierw dostrzegłam jej ciało. Nie pamiętam wielu szczegółów. Mózg znieczula. Widziałam ją wyraźnie, tak realną i materialną jak ty czy ja, a jednak natychmiast stała się jakby nierealna. W cokółwiek się zmieniła, nie była już osobą. Dinah była mięsem. Jej twarz była miazgą. Obok niej leżał zakrwawiony kamień.

Głowa Petera tkwiła w oczku z koi. Twarz i gardło miał sinofioletowe, ciało białe. Jedna z ryb krążyła przy jego otwartych ustach. Gdy opływała głowę, zostawiała za sobą smugę bąbelków, przez co wyglądało to tak, jakby oddychał. Nigdy wcześniej nie widziałam zwłok, nie mówiąc już o dwóch naraz, ale wiedziałam dość, by zorientować się, że zginęli niedawno. Krew na zmiażdżonej twarzy Dinah wciąż była mokra i błyszcząca, a żadne z ciał nie wydzielało jeszcze zapachu rozkładu.

Nie mogłam krzyknąć ani wydać z siebie choćby najcichszego dźwięku. Po prostu uciekłam. Potknęłam się o coś. Może o kamień. Krew dudniła mi w uszach, jakby młot pneumatyczny rozsadzał czaszkę od środka. Moje ciało poruszało się samo, biegło z powrotem terakotową ścieżką, przez bluszcz i mięte, do chłodnej, ciemnej kuchni, potem w jeszcze ciemniejszy korytarz, obok gabinetu, łazienki i jadalni, do drzwi wejściowych, które wciąż stały otworem.

Gdy rzuciłam się ku nim, usłyszałam okropny dźwięk. Ludzki głos.

Brzmiał jak „Pomocy”.

Nie jestem dobra ani cnotliwa, chcę to jasno powiedzieć. W tym momencie nawet nie zamierzałam dzwonić na policję, dopóki nie znajdę się dostatecznie daleko od miejsca zbrodni. Powiedziałybym prawdę: „Dzień dobry, panie posterunkowy, jestem korepetytorką przygotowującą do egzaminu SAT, przyszłam tu w złym momencie, znacie te historie, wiecie, rozumiecie. Proszę, zrozumcie. Przykro mi, że uciekłam, ale nie miałam ochoty umierać. Nie teraz. Nie dziś. I nie za nich”.

Ale w tym krzyku „pomocy” było coś takiego, co kazało mi zawrócić. Podążyłam za dźwiękiem aż do schodów. Pod nimi znajdowały się małe drzwi. Zaokrąglone jak w chatce z bajki i trochę złowieszcze.

– Proszę – powiedział głos. Niski i ochryply. Nie należał do Sereny.

Rozległ się zgrzyt, a potem jęk bólu. Błagalny, przerywany szloch. Spróbowałam otworzyć. Były zamknięte.

– Nie mogę... nie sięgam... – Znowu ten okropny, ochryply szept.

– Kurwa. – Szarpałam klamkę z całej siły.

Ani drgnęła. Szloch za drzwiami był coraz głośniejszy.

– Proszę – wycharczał głos. – Proszę...

– Kurwa, kurwa mać. – Rzuciłam się na drzwi.

Zawiasy się poruszyły. Uderzałam raz po raz, aż moje ramię zupełnie zdrętwiało z bólu, i drzwi w końcu z hukiem ustąpiły. Zajarzałam do środka.

W ciemności błysnęły oczy. Przerazone, tkwiące w zapadniętej twarzy. Nie potrafiłam stwierdzić, czy należały do mężczyzny, kobiety, czy dziecka. Na głowie mierzwa czarnych i rozjaśnionych włosów, z tak tłustymi ciemnymi odrostami, że wyglądały na mokre. Rysy twarzy wyłaniały się, powoli nabierając ostrości jak ekran komputera przy ponownym uruchomieniu. Spierzchnięte wargi.

Brudne, wklęśłe policzki. Na szyi widniał odcisk dłoni, świeży, siny, nabiegły krwią na brzegach. Pomieszczenie pod schodami miało niski, skośny sufit, a uwięziona osoba – kobieta, mniej więcej w moim wieku, jak zauważyłam – kulila się przy ścianie, z głową wciśniętą pod pochyłym sufitem. Wyglądała jak chłopak z punkowego zespołu z lat siedemdziesiątych, żywiący się heroiną, papierosami i wszystkim, co dało się wygrzebać ze śmietnika. Miała na sobie czarne glany i czarne dzinsy tak cienkie, że oklejały jej patykowate nogi niczym bibułka, żółtą koszulkę, która – podejrzewałam – kiedyś była biała, i skórzaną kurtkę. Wpatrywałyśmy się w siebie, oszołomione. Jej pierś, płaska jak u chłopca, unosiła się z wysiłkiem. Kobieta stała nieruchomo.

Weszłam do środka. Po chwili zorientowałam się, że jest związana. Nie sznurem, lecz postrzępionym kablem, pooranym śladami zębów. Widocznie próbowała go przegryźć, by się uwolnić. Ktoś przywiązał ją do najniższej belki jakieś półtora metra od wejścia w wąskim pomieszczeniu, które ciągnęło się dużo dalej, niż mogłam dostrzec w mroku. Kobieta zadrżała, gdy podeszłam bliżej. Uderzył mnie smród. Okropny fetor otaczał jej ciało, ale to nie był pot ani brud. Raczej woń rozkładu. Zgniłych owoców i padliny na poboczu drogi. Jak długo siedziała pod schodami?

– Rozwiążę cię – powiedziałam łagodnie.

Przez chwilę bałam się, że się na mnie rzuci, wiedziona instynktem przerażonego zwierzęcia. Przyszły mi na myśl zaszczute beznogie psy z pianą na pyskach i wyszczerzonymi zębami. Ale nie walczyła. Cofnęła się, żeby zrobić mi przestrzeń, na tyle, na ile pozwolił jej owinięty wokół belki i mocno naprężony kabel. Zacisnęła dłonie w pięści, po czym je rozprostowała, starając się przywrócić krążenie.

Kiedy dotknęłam jej dłoni, podskoczyła. Słyszałam świst, jakby każdy wydech wydobywał się z przebitego miecha. Usta kobiety – na tyle blisko moich, że czułam jej nieświeży oddech – były tak popękane, że krwawiły. Z zimną, osobiwą ciepliwością rozsypła-

łam gruby węzeł, aż poluzował się na tyle, bym mogła wyswobodzić nadgarstki uwiecznionej. Jej dłonie dygotały. Patrzyła na swoje kostki i palce, jakby należały do kogoś obcego. Podniosła wzrok. Oczy kobiety odnalazły moje w ciemności.

Byłam tak skupiona na niej i na jej ciężkim, chrapliwym oddechu, że nie usłyszałam zbliżających się kroków. To ona mnie ostrzegła: chwyciła za rękę i pociągnęła za sobą do głównego korytarza.

Serena zauważyła nas dopiero po chwili. Kiedy weszła do domu, pisała esemesa, ale na nasz widok jej twarz się zmieniła.

Kobieta natychmiast rzuciła się w stronę otwartych drzwi, Serena jednak zastąpiła jej drogę, krzycząc z przerażenia.

Kobieta zastygła, ze strachu chwytając poręcz schodów, i wodziła rozbieranym wzrokiem między Sereną a drzwiami.

Serena zaczęła nerwowo wybierać numer, jej piskliwy głos zdradzał panikę.

– Dziewięć-jeden...

Kobieta rzuciła się do drzwi. Serena zamknęła je z trzaskiem, wciąż ściskając telefon.

– Dziewięć-jeden – podjęła kolejną próbę, wykrzykując cyfry, ale kobieta zdołała wyrwać jej z ręki telefon i przerzucić go przez pokój.

Upadł prosto pod moje stopy. Serena spojrzała na mnie, potem na telefon. Od razu go podniosłam i wyciągnęłam rękę w ostrzegawczym geście.

– Sereno – powiedziałam powoli. – Pozwól mi wyjaśnić, co się dzieje. Bo chyba nie wiesz.

Ja też nie wiedziałam, co właściwie się dzieje, lecz nie miałam wątpliwości, jak to widzi Serena. Dla niej ta kobieta była włamywaczką, więc zamierzała wezwać policję, by ją zabrała.

By zabrała ją i mnie.

Serena dyszała ciężko jak zaszczute zwierzę, cofając się powoli w głąb korytarza. Zaniosła się szlochem i porwała ze stolika w przedsiionku lampę z masywną złotą podstawą.

– Nie zbliżaj się! – wybełkotała i zamierzyła się nią jak maczugą. – Ja... ja...

– Sereno, błagam, pozwól mi tylko to wyjść...

Gdy zrobiłam krok w jej kierunku, wrzasnęła przerażona i zaczęła wodzić dłonią po ścianie, jakby czegoś gorączkowo szukała.

Telefonu stacjonarnego.

W mojej głowie pojawił się dalszy rozwój wypadków.

Serena uważa, że nakryła mnie i jakąś brudną nieznaną nam włamaniu do jej domu. Jeśli przyjedzie policja, aresztuje nas.

Policja z Sereną odkryją ciała niedawno zamordowanych rodziców w ogrodzie, a my szybko zostaniemy oskarżone o morderstwo.

Nastąpi krwawy i sensacyjny proces.

Finał: zostanę główną bohaterką kolejnego sezonu *Orange Is the New Black*. Dostanę dożywocie.

I tak oto popełniłam trzeci ze swoich fatalnych błędów, po tym, jak przyszłam dziś na korepetycje i uwolniłam związaną kobietę.

Spróbowałam chwycić słuchawkę.

Serena bez wahania zamachnęła się lampą i wyrzuciła mnie w głowę.

Nie da się opisać bólu, a jeszcze trudniej go sobie przypomnieć. Nigdy wcześniej nie oberwałam tak mocno czymś tak ciężkim. Miałam wrażenie, że moja czaszka jest pusta i powoli wypełnia się krwią. Wydawało się, że głowa zaraz mi pęknie jak skorupka jajka, a krew i żółtko spłyną po policzkach.

Upadłam na schody – i na kobietę – w popłochu gramoląc się do tyłu. Telefon Sereny prześliznął się po podłodze. Krew zalała mi twarz. Poczulałam, że kobieta łapie mnie za rękę i podnosi. Kopnęła telefon jeszcze dalej.

Lampa znowu się uniosła. Cofnęłam się na chwiejnych nogach i złapałam pierwszą rzecz w zasięgu ręki, by zasłonić się przed ciosem. Wazon. O wiele cięższy, niż przypuszczałam.

– Sereno, przestań!

Serena wydała z siebie nieartykułowany wrzask.

Odchyliła lampę do tyłu i zamachnęła się. Z całej siły rzuciłam w nią wazonem.

Uderzenie w głowę Sereny zabrzmiało mokro i głośno.

Upadła, ale próbowała się odsunąć, nawet gdy jej oczy wywracały się białkiem do góry.

Nagle omdlała.

Zszokowana podczołgałam się do niej.

Nie ruszała się.

Wyciągnęłam rękę, żeby sprawdzić puls.

Nic.

Wcisnęłam palce głęboko w jej miękką szyję, gorączkowo szukając pulsu.

Nie czułam go.

Wgramoliłam się na nią. Podniosłam jej powieki i zobaczyłam tylko niebieskie żyłki w białkach oczu.

Przejechałam wierzchem dłoni po jej twarzy. Głowa Sereny bezwładnie opadła.

Nie mogła być martwa. To niemożliwe.

Jeszcze raz sprawdziłam puls.

Nadal nic.

– Nie... – Mój głos zabrzmiał obco. – Nie. Nie... – Poczułam, że zaraz zwariuję. – Karetka... mogłybyśmy... powinnyśmy...

Nie mogłyśmy i nie powinnyśmy. Wezwanie karetki byłoby za-proszeniem ratowników medycznych na miejsce zbrodni. A oni ściągnęliby nam na głowę policję, która by mnie aresztowała za zamordowanie całej rodziny Victorów.

Ale przecież ludzie w takich sytuacjach dzwonią na policję. W telewizji, kiedy dzieje się coś podobnego, kiedy zdarza się śmiertelny wypadek, kiedy ktoś żyje i nagle umiera, nie ze starości ani na raka, lecz w grę wchodzi pistolet, nóż, Pułkownik Musztarda z kandelabrem w sali balowej, kiedy ktoś chwyta najcięższą rzecz, jaką znajdzie, i uderza nią z całej siły – zjawia się policja. W telewizji po prostu dzwonicz i przyjeżdża obsada *Prawa i porządku*, złoczyńcy

idą do więzienia, sprawiedliwość zostaje przywrócona, a ty oglądasz następny odcinek i dzieje się tak po raz kolejny i znowu, i znowu, i...

Rozpłakałam się. Kobieta, która nie płakała, chwyciła mnie za brodę i skierowała moją twarz ku lustru nad stolikiem w przed-sionku. Patrzyłam w nie tyle razy. Robiłam zuchwałe zwierciadla-ne selfie, żeby wrzucić na Instagram, albo sprawdzałam, czy nie mam sałaty między zębami po daniu z Taco Bell, pożartym w sa-mochodzie w drodze tutaj. To lustro kosztowało pewnie tysiące do-larów. Droгоценny antyk w złotej ramie. Odważyłam się spojrzeć na nasze odbicia. Moje dżinsy z Targetu, moje botki ze szmateksu. Krew spływała mi po rękach i twarzy. Już wcześniej widziałam sie-bie w takiej wersji, na Netfliksie, w dokumentach o seryjnych mor-dercach, na zdjęciach policyjnych, w thrillerach klasy B. Dobrze wiedziałam, jakie wnioski wyciągnąłby gliniarz, widząc mnie obok martwego ciała Sereny.

W lustrzanym odbiciu oczy kobiety intensywnie wpatrywały się w moje. „Tylko spójrz na nas” – mówiły. Wyglądała, jakby właśnie wyczołgała się z kibla w *Trainspotting*. Ja wyglądałam jak tytułowa bohaterka *Carrie*.

Chciała uciekać.

„Proszę” było jedynym słowem, jakie zdołała z siebie wydusić, i zrobiła to ostatkiem sił. Zamknęła oczy, jej usta drżały z wysiłku, by wypowiedzieć kolejne. Trzęsła się.

Coś jej się przydarzyło w tym domu. Została tu skrzywdzona. Ktoś z Victorów ją skrzywdziło. Peter albo Dinah. Może nawet Serena.

Może wszyscy.

– Serena? – wysapał ktoś za nami.

Mój układ nerwowy skręcił się w ostatnim śmiertelnym skurczu.

O mało nie parsknęłam śmiechem. Oczywiście, że był jeszcze ktoś.

Nastolatek. Od razu go poznałam. Ten ze zdjęć w telefonie Se-
reny.

Lukas. Jej chłopak.

Zobaczył mnie, całą we krwi. Zobaczył kobietę. Zobaczył Serenę, swoją dziewczynę, nieruchomą jak trup.

– Kurwa, co jest... – Rzucił się naprzód. – O Boże, Serena, o Boże...

My już biegliśmy. Wybór został podjęty za nas. Kobieta chwyciła mnie za rękę i pociągnęła obok Lukasa, który zaczął krzyczeć. Świat wokół zawirował, jak w kalejdoskopie – rośliny, fosa, trawa, oślepiające słońce. Ulica. Mój samochód.

Kobieta złapała mnie za ramiona i potrząsnęła, aż wyostrzył mi się obraz. Znowu jej oczy. Czarne i czujne.

– Kluczyki – powiedziała.

– Kluczyki – powtórzyłam.

Prawie nic nie widziałam.

Wsunęła rękę do przedniej kieszeni moich džinsów i sama wyjęła kluczyki, a potem wcisnęła je w moją drżącą dłoń. Jakimś cudem wsiadliśmy do samochodu. Przekręciłam kluczyk w stacyjce, a adrenalina przejęła kontrolę. Kobieta siedziała w fotelu pasażera, wpatrzona w szoku w skąpaną w słońcu ulicę przed nami. W oddali zawyła policyjna syrena.

– Dokąd jedziemy? – spytałam.

My. Oto jak szybko zapadła decyzja.